MIŁOŚĆ NA PÓŁNOCY.

Powieść z dzieł Klaurena.

P. Storch, pisarz wielu dzieł klassycznych o Rossyi, w jedném z nich wyraża: „Płeć piękna w Rossyi tak mało jest skłonną do romansów, iż z kroniki serca roku całego nie możnaby wybrać dostatecznego przedmiotu na jeden nawet romans.”

Uważając w ogólności, może on mieć prawdę. Przyczyną takiey mniemaney oziębłości, nie tak uważam klimat, ile wychowanie, które, osobliwie w klassie wyższey, nigdzie nie może bydź tak dobre, jak w Rossyi.

Publiczne zakłady wychowania płci niewieściey, zostające, jak wiadomo, pod szczególną opieką Cesarzowey Matki (*), wielką mają o to troskliwość, ażeby zachowywać panienki od wszelkiego zbytecznego natężenia uczuć, a wrażać im wiadomości i nauki, zasadzone na czystey obyczayności i wyższym stopniu moralności. Te zakłady publiczne stały się wzorami, godnemi naśladowania w wychowaniu domowém, i tym sposobem ubóstwiana Cesarzowa Marya Feodorowna, otrzymała sławę nieśmiertelną przez ukształcenie żón i córek Rossyi.

Nie mniey jednak wrodzona jest miłość ruskim heroinom, jak i pannom innych krajów. Znałem w *Archanielsku*, na samym prawie końcu

(*) Pisano to w r. 1820. (*S. O.*)

północney Europy, dziwnie miłą panienkę. Tak żywey wyobraźni, tak szczególney miłości, tak przenikającey i delikatney czułości i w tak wielkiey mocy, nie może posiadać serce Włoszki, piękney Peruwianki, albo Limanki. Przy tém, niezaprzeczoną jest rzeczą, że wdzięki Rossyanek są daleko powabnieyszemi, aniżeli piękność kobiét stref naygorętszych: ktoby nawet śmiał utrzymywać, że widział cały urok uderzającey kibici, wdzięk prawdziwych kolorów zdrowia, niebieski ogień dziewiczego wzroku, czarującą świeżość wdzięków niewiasty; ten, zapewne, leżał u nóg północney jakiey piękności.

Zofia Pawłowna (*), heroina tey mojey, zupełnie prawdziwey powieści, żyła na brzegach Dzwiny, w jedném wielce handlowném mieście. Oyciec jey był bogatym kupcem; ona u niego jedynaczką.

Swietny koncert w obszerney, bardzo piękney sali rodzinnego jey miasta, przypominającego przez swe imie, dawne czasy rycerstwa, stanowi pierwszą epokę w jey życiu, które dotąd było spokoyne. W liczbie słuchaczów znaydował się młody oficer, w mundurze cudzoziemskim. Wszystkie, około niey siedzące damy, zgodnie uznały go za pięknego mężczyznę. Wzrok jey mimowolnie zatrzymywał się na cudzoziemcu. Dotychczas nie zdarzyło się jey widzieć zupełnie pięknego mężczyzny. Jakże więc nie przebaczyć tey

---

(*) Autor bohatyrkę swą nazywa wprost Pawłówną, przez co przekonywa niewątpliwie. że nie są mu dostatecznie znajome obyczaje Rossyi. Tłumacz przydał imie *Zofia*, jako upoważnione w literaturze rossyyskiey przez jednego ze wzorowych pisarzy. (*S. O.*)

małey ciekawości, że się ukradkiem jemu przypatrywała, jedynie dla nabycia rzetelnego wyobrażenia o piękności mezkiey!

Oczy cudzoziemca latały po świetnych szeregach kobiét, jaśniejących zdrowiem i pięknością. Tak piękney galeryi nie mógłby on znaleźdź w żadném inném mieście na całym świecie. Bardzo to pochlebiało próżnemu jego samolubstwu, że oczy wszystkich nań były zwrócone: tak właśnie stoi pierwszy żołnierz na końcu swego batałjonu, wszystkim na widoku, i wszystkich oczy utkwione są weń nieporuszenie. Byłoby nieskromnie i nawet niedorzecznie, ciągle się tak przypatrywać: odwrócił się więc i zaczął patrzeć na orkiestrę. Kiedy niekiedy tylko ośmielał się poglądać zukosa w stronę, i w jedney z tych potajemnych wycieczek, napotkały go oczy Zofii Pawłówny. Spotkały się one dwa, trzy, cztery razy: przez co już się zawiązała daleka znajomość. Oboje, ach! oboje, w tém telegraficzném rozmówieniu się, wzajemnie sobie udzielali swoich nadziei i swoich radości!

Wkrótce cudzoziemiec, od spółtowarzysza drogi, który go przyprowadził na koncert, dowiedział się o imieniu, nazwisku i stanie Zofii Pawłówny. Wdzięki jey czarujące sam widział, o anielskiey zaś dobroci jey charakteru, wiele mu opowiedział spółtowarzysz podróży. Lecz to było na nic nieprzydatne: kto tylko mógł używać wzroku, ten widział, że w tém pięknem ciele, musi przebywać naypięknieysza dusza: w tych powabnych oczach, nayczystsza dobroć: w tych jameczkach policzkowych, wesołość i dowcip: w tym delikatnym rumieńcu, niewinność

i zdrowie: w całey tey osobie, talenta i ukształcenie.

Zakończył się koncert. Publiczność zaczęła się rozchodzić. Zofija Pawłówna znikła. Kronhelm czém prędzey ku drzwióm pobiegł. Stał on na ganku, kiedy Zofia Pawłówna z oycem swoim siadała do sań. Zazdrośne kłusaki uniosły ją z oczu. Ale siadając, ona go zauważała, i wsiadłszy, jeszcze raz obeyrzała się na niego. Czegożby on nie ofiarował, żeby tylko mógł być na mieyscu jey oyca!

Nie mógł wytrzymać w domu. Zachciało się mu tegoż wieczora widzieć mieszkanie Zofii Pawłówny. Łacno je znalazł, wiedząc imie oyca. Jakże przyjemny, czarujący widok, stawi się mu niespodzianie! Cały dom, był oświecony; tysiące pałających ogniow rozlewało się po wszystkich wydatnościach obszerney budowy, i roztaczało przyjemną światłość na całą ulicę. Nie byłoż w tém jakiey wróżby szczęśliwey? Dom, gdzie mieszka ulubiona, w takiey ozdobie, w takiey spaniałości, stawił się pierwszemu spóyrzeniu Kronhelma, który już myślał o ślubach!.

Zapytał stojących około domu: coby znaczyła taka illuminacya. Powiedzieli mu, że oyciec Zofii Pawłówny ma w Petersburgu brata, którego córka dzisia wychodzi zamąż, i że w Rossyi, dla okazania uczęstnictwa w podobnych familiynych uroczystościach, jest zwyczajem oświecać swe domy.

Prześliczny obyczay, pełen radości dla naszego cudzoziemca! Blask od mnóztwa ogniow, sam przez się mocno działa na duszę. Może nawet wspomnienie na szczęśliwe dni wieku dziecinnego, nie mało się przyczyniło do tak wesołego wrażenia. Ale co innego było w oczach Kronhelma.

Zofia Pawłówna stała przy oknie, rzęsiście oświeconego domu, i patrzała na różnobarwny tłum zgromadzonego na ulicy ludu. Kronhelm, w swoim ponsowym mundurze huzarskim, stał pośród tłumu, oświecony odbitym blaskiem illuminacyi. Długo ona z niego nie spuszczała oczu. Nakoniec, zdało się, że ją zawołano po imieniu;poszła wgłąb pokoju. Oddaliła się Zofia i Kronhelm pośpieszył do ciemnego ustronia swego mieszkania. Tu, między skromnemi ścianami, śpiewał o swojey miłości. Zofia Pawłówna, pośród licznego grona rowiennic i znajomych,była jakby sama jedna.Kronhelm o niczém nie pamiętał i nic nie widział,prócz panienki w saniach; Zofia Pawłówna o niczém nie myślała, tylko o cudzoziemcu-huzarze. Kronhelm tęsknił, obciążony nawałem swych myśli. Zofia Pawłówna unosiła się w marzeniach na skrzydłach naypochlebnieyszych nadziei. We śnie oboje jedno drugiego widzieli: obóyga ich trwożyły straszliwe bagna. Zofia Pawłówna widziała kaźń ślicznego młodzieńca, a w objęciach Kronhelma piękna panienka umarła z głodu. Ranek przebudził oboje: śmieli się ze snu swojego. Ach! gdyby oni poszli za przestrogami swych aniołów-stróżów!

Komu znana jest, samey tylko Rossyi zwyczayna cnota, gościnność, ten bynaymniey się nie zadziwi, że Kronhelm, człowiek zupełnie obcy, bez żadnych rekomendacyy, w pierwszych dwóch tygodniach, zaznajomił się ze wszystkiemi znacznieyszemi domami w mieście.

Na balu w klubie, gdzie się zebrała wyższa publiczność, obaczył się, nakoniec, Kronhelm z Zofią Pawłówną.

Znał już Kronhelm tę miłą pannę, jak swą rodzoną siostrę. U wszystkich wypytywał się o niey, wszystkich słuchał. Wszyscy jednozgodnie ją chwalili. Każdy przytém powiedział o jakim cale pięknym rysie charakteru jey duszy, o jakim pięknym jey czynie. Jeden wychwalał granie jey na klawikorcie, drugi doskonałą znajomość języka francuzkiego; ten uprzeymość, ów dowcip; ten naukę, inny dobroć; a wszyscy przydawali do tego, że będzie miała posagu 50,000 rubli sr., a w sukcessyi z czasem weźmie zapewne pięć razy tyle.

Takie pochwały czyniły na duszy Kronhelma zupełnie przeciwne wrażenie. Pannie, z takiemi zaletami, nie mógł ofiarować swey ręki: będąc człowiekiem zupełnie obcym w tym kraju, bez związkow, bez widokow. W naywiększey dolegliwości ścisnął swe zakrwawione serce, i zaczął rozmyślać nad tém, że nie przystoi mężczyźnie, stałego charakteru, wdawać się w dziecińśtwa, które do niczego nie prowadzą, i że potrzeba usunąć z myśli tę czarowną pannę. Pierwsze na nią spóyrzenie ujęło go niewypowiedzianie. Lecz teraz znikło zachwycenie pierwszego weyrzenia; teraz chciał on być obojętnieyszym, i spokoynieyszém okiem patrzeć na tę, która dlań była niedościgłą.

Lecz, kiedy Zofia Pawłówna weszła do sali, kiedy oczy wszystkich z czułością na nią zostały zwrócone, kiedy skromnym ukłonem przywitała całe zgromadzenie, a obecność rotmistrza huzarskiego, co też było widocznném, nie uszła jey pierwszego, cale miłego, spóyrzenia, wnet zatym znikły wszystkie rady rozumu, wtedy on nie należał do siebie, i czarujące wdzięki miłey panienki przy-

kuły go do tryumfalnego jey wozu, za którym ciągnął się szereg młodzieńców z całego miasta.

Gdzie się tylko ona zatrzymała, wnet tam utworzyło się koło, i każdy starał się otrzymać od niey słowo do tańcu. Każdemu szlachetną dawała odpowiedź i tak prędko, że Kronhelm, jeżeliby chciał prędzey, niż drudzy, do niey się przybliżyć, jużby się musiał przeciskać, co właśnie w tém mieyscu nie wypadało; lękał się nawet, iż mu przyydzie otrzymać samo tylko grzeczne odmówienie. Jednakże Zofia Pawłówna pierwszą zachowała dla niego parę. Takiego dla siebie względu, ani się mógł spodziewać. Słyszał sam, iż tym, którzy ją zapraszali w pierwszą parę, oświadczała, że już jest zamówioną; on zaś, szczęśliwy, gdy prosił ogólnie w którąkolwiek parę, oświadczyła się w pierwszą. Lecz uczyniła to tak, iżby drudzy nie postrzegli: żeby myśleli, że ona pierwiey się już umówiła tańczyć z rotmistrzem.

Te, mało znaczące zdarzenia, dziwnie odkrywają serce niewieście! Kronhelm byłby wielkim cale prostakiem, gdyby tego nie poznał. Wyraźnie już widział, jakby napisane czytał: „Kochany cudzoziemcze, ty się mi podobasz.” Toż samo czytał w jey oczach, w obeyściu się, w rozmowie, nawet w niewymuszoney wesołości jey tańcow. Chociaż przystoyność i skromność mocno trzymały zasłonę, pod którą dobrze wychowana panienka powinna się ukazywać na zgromadzeniu publiczném; ale wzrok zakochanego i szczęśliwego znaydował naymnieysze, prawie niedostrzeżone szczelinki, przez które przeciskał się do głębi duszy tey nadludzkiey istoty.

Na temże zgromadzeniu zaznajomił się z Kronhelmem i oyciec ZofiiPawłówny,kupiec otwartego i ślachetnego sposobu myślenia.Chciał rotmistrz wprowadzić go w rozmowę, ale się nie udało. Na nieszczęście, Kronhelm nie miał naymnieyszego wyobrażenia o rzeczach handlowych: nie znał co to jest kurs, nie wiedział ceny dukatow w swoim kraju, nie umiał nawet wymienić pierwszych domów handlowych w rezydencyi swego dworu; a starzec zgoła nie znał tego, co było rzemiosłem rotmistrza, zaczynającego mówić o woysku swego kraju, o rozmaitości mundurow, o trudności awansów, i tym podobnych rzeczach. Tak więc, prędko rozeszli się, każdy w różną stronę.

Natomiast,starzec nie mógł się nacieszyć rozmową z P. Szmalbonem, młodym kupcem, który, jak się tu o tém dowiedzał Kronhelm, głoszony był za oblubieńca Zofii Pawłówny. Był to człowiek delikatny, wychowany w Londynie, który nie dawno powrócił z Ameryki, z kilką beczułkami złota.

Spuścił nos Kronhelm: biedne jego serduszko smutnie biło pod złoto-szytym dołmanem; lecz wszystkie czcze nadzieje w jego oczach pękały, jak mydlane bańki.

Zofia Pawłówna rozmawiała ze Szmalbonem w zagłębieniu okna. Blizką znajomość dawała się dostrzegać w ich obeyściu się między sobą. Kładła ona swą rękę jemu na ramieniu; on trzymał mały palec jey prawey ręki, i nawet dotykał się go ustami.

Rozpalony sztylet zadał srogi cios strwożonemu sercu Kronhelma. Zły duch zazdrości objął jego duszę. Czyż potrzeba było między nim a nią

wmięszać się trzeciemu. Już nie słuchał on wesołey muzyki; nie widział, jak przed jego oczyma latały w lekkich tańcach kręcące się pary. Działo się z nim to samo, co z oknami w sali tańców: i ziąbł i potniał w jednymże czasie.

Pierwiey, kiedy z nią tańczył, kiedy wszyscy przytomni uznawali ich jednozgodnie za pierwszą parę w całém zgromadzeniu, kiedy on, upojony szczęściem znaydowania się tak blizko swego anioła, zapominał o całym świecie, wtedy nie chciałby zamieniać swego stanu ani z Królem; a teraz

Wszystko stało się dla niego obojętném — wszystko. Długo rozmierzał on oczyma linią przekątną sali. Potém zaczaił się u ściany przy oknie, tak, iż oni go nie postrzegli, i umyślił ich podsłuchiwać. Niestety! rozmawiali po angielsku. Nie mógł ich rozumieć. W tém postrzegła go Zofia Pawłówna.

„WPan nie tańczysz, P. Rotmistrzu Ay, ay! co powiedzą nasze damy!" Tak przemówiła z uśmiéchem Zofia Pawłówna, i rekomendowała obu młodych, jako przyjaciela przyjacielowi. Wszczęła się między niemi rozmowa, i Kronhelm musiał wyznać sam w sobie, że Szmalbom jest człowiek wcale miły. Lecz i temu także podobał się Kronhelm. Jeżeli nawet czuł w sobie wyższość nad rotmistrzem w ukształceniu i znajomości świata; to znowu Kronhelm, przez swą otwartość, zdrowy rozsądek, skromność, wydał się jemu człowiekiem przyjemnym, a osobliwie w tych chwilach, kiedy Zofia Pawłówną rozwijała przed nim swóy żartobliwy dowcip. Szmalbom zaprosił go, ażeby razem z nim był jutro na wieczorze muzykalnym.

Zofią Pawłównę zaproszono do tańca. Dway rywale poszli do ustronnego pokoju i wypili po szklance ponczu na zakład bliższey znajomości.

Kronhelm wkrótce oddalił się z balu. Nie mógł już on tańczyć z Zofią Pawłówną. Do wszystkich tańców była zaproszoną. Inne panny nie miały dla niego żadnego powabu. Nie mógł on nawet widzieć razem z nią szczęśliwego Szmalboma. Serce mu się od tego krajało. Wyszedł.

Idąc do domu, zawrócił się na tę ulicę, gdzie mieszkała Zofia Pawłówna, ażeby przynaymniey obaczyć znowu jey dom i okno, z którego nie dawno patrzała na niego.

Dom już nie był oświecony, jak wtedy: był posępny i cichy, jak jego serce. Załamawszy ręce, długo stał przed tym gmachem. Pieniędzy tylko— przeklętych pieniędzy, mu nie dostawało, iżby stanąć wrówni ze Szmalbomem, i prosić o wybor. Na jeden wieczor tracił Szmalbom, na balik, taką summę, z któreyby służący w woysku rotmistrz, mógł żyć rok cały.

Możnali było jemu tak postępować?—Ach, on sam tylko znał swoje położenie. Zapewne, ręka Zofii Pawłówny mogła go ocalić. Lecz, ztémwszystkiém, tysiąc razy byłoby dla niego rzeczą przyjemnieyszą, żeby u Zofii nie było majątku, ani grosza. Sam nie wiedział, czego chciał. Sam na siebie się gniewał, na swoje przeznaczenie, na przeszłość, na przyszłość, na wszystko. W tey chwili, otworzyła się fórtka, i wyszła, ile mógł dostrzedz przy słabém świetle latarni, młoda dziewczyna, która też poszła w dół ulicą. Szedł on za nią. Wkrótce postrzegła ona pogoń; zaczęła iśdź powolniey. Kronhelm przywitał się; u-

przeymie mu podziękowała. Była to pokojowa Zofii Pawłówny. Marysia znała rotmistrza, widziała go przed oknami w czasie illuminacyi. „A gdyby i to nie było — rzekła z uśmiechem łagodném: „jabym zaraz jednak WPana poznała; moja panienka tak dokładnie opisała mi WPana, iż potrafiłabym go odrysować.

Trzeba być daleko oziębleyszym, aniżeli bywa zwyczaynie młody rotmistrz huzarski, iżby serce nie podskoczyło w uniesieniu na tak radośną nowinę. Objął on dzieweczkę, i na jey gębulce wypiątnował swe wąsy. Takie piętno niemocne: gębulka zaczęła paplać jeszcze więcey. „Kiedy pani jest smutna, trzeba zagadać tylko o cudzoziemcu huzarze, wtedy natychmiast rozwesela się." Kronhelm napomknął w rozmowie o Szmalbomie. „E! day WPan z nim pokoy! rzekła Marysia. Całe miasto swata go nam za zięcia, a ja bynaymnicy w życiu mojem temu nie uwierzę. Jeszcze, kiedy P. Szmalbom biegał w kurteczce, a panienka leżała w kołysce, wszyscy mówili, że to będzie para. U niego są pieniądze, i ona ma pieniądze: otoż i myślą, że pieniądze powinny być w jedném w mieyscu. Otoż i wszystko. I on ona razem rośli i wychowywali się. Już tém samém nie może być prawdziwa miłość. Oni z sobą, jak brat z siostrą. Taka też ich miłość. Jednak nie jestto owa miłość prawdziwa. Ja, prawdziwie nie umiém WPanu wytłumaczyć. Lecz WPan już poymujesz."

Jak nie było szczęśliwemu pojąć tey chytrey gadzinki. Z radości ledwie nie wyskoczył pod niebo, z którego świetne nań świeciły gwiazdy. Tonął w radości, i Zofia Pawłówna była dla nie-

go — mało aniołem — nie mógł znaleśdź dla niey imienia, tak miłego, jak ona sama. Wiedząc dobrze, że wszystko będzie jey opowiedzianém, mówił w ten sposób: „Moja miła! szczęście moje w twych ręku. Bóg widzi me serce. Zofia Pawłówna, albo nikt. Moja miła! tyś mi zesłana z nieba samego. Proszę, zaklinam ciebie na wszystko, co jest świętém, powiedz: czy mogę mieć jaką nadzieję? Bez nadziei nie mogę i nie chcę żyć.”

Marysia, może własne uczucia włożyła w usta Zofi Pawłówny. Podług niey, panienka mówiła o nim, jak naylepiey; lecz bez wątpienia, przy tém wszystkiém, nie mogła lotna pokojówka czynić żadnych obietnic w imieniu swey pani. Poczekay WPan do pory, do czasu — rzekła, dodając w otwartości serca: jedném cięciem nie obalisz drzewa.”

— „Ach! duszko, ja tu nie na długo. Cokolwiekbądź, powinno prędko nastąpić. Kiedyż się z tobą obaczymy? Już w połowie jestem uszczęśliwiony nawet przez to, że mogę pomówić z tobą.”

Tak czule nikt jeszcze nie rozmawiał z Marysią. Gotowa była póyśdź w ogień za rotmistrzem. „Jutro nie mogę się widzieć z tobą. Po jutrze będę tu. Lecz nie wypada nam tak długo stać na ulicy. Znają mię wszyscy sąsiedzi. Bóg wie, co sobie pomyślą. Bądź zdrów, Panie! już mi czas!” Puściła się, jak strzała, i pobiegła, żeby nagrodzić ten czas, który spędziła na rozmowie, a Kronhelm z nowemi nadziejami poszedł do siebie.

Zofia Pawłówna wszystkich zachwycała na muzykalnym wieczorze. *Siwolano*, wirtuoz, który się zatrzymał w mieście przejazdem, wydawał

na wiolonczeli koncert swojey kompozycyi. Zofia Pawłówna, którey się bardzo podobał koncert, siadła do fortepiano, i grała trudnieysze z niego passaże, z taką łatwością i dokładnością, że zdumiony Włoch padł w zachwyceniu przy jey nogach. „WPan zaymujesz się muzyką?” zapytała rotmistrza Zofia Pawłówna, z taką miną, jakby się bardzo jey chciało usłyszeć odpowiedź *tak*. Biedak musiał odpowiedzieć: *nie*. Uczuł siebie godnym użalenia w tym razie. Złoto na mundurze ciążyło mu, jak ołów. Zofia Pawłówna rozmawiała z wirtuozem powłosku tak biegle, jak wczora poangielsku. A przeciw temu wszystkiemu Kronhelm niczego nie mógł postawić, prócz opłakanych tylko swoich haftów, swych rzemuszków i sznurków. Własne mu dyktowało uczucie, iż nie może mieć żadney ceny w oczach Zofii Pawłówny; jednakże, szczególniey dnia tego była z nim bardzo uważna. Jey czarujące granie na fortepiano, jey zachwycające śpiewanie, zasłużyły na powszechne, jednozgodne *brawo* od całey publiczności, na pochlebną i czułą pochwałę od znawcy wirtuoza, lecz nic ją tak nie ucieszyło, jak uniesienie Kronhelma. Długo i wiele z nim rozmawiała. Wlała życie i odwagę w jego duszę. Wprawiła w ruch umysłowe siły jego. Nigdy nie rozmawiał Kronhelm tak interessownie, tak żywo i tak dobornemi wyrażeniami, jak dnia tego.

Marysia bardzo wiele zdziałała na jego stronę. Przebiegła ta ptaszeczka wiedziała dobrze, że stosunki Zofii Pawłówny ze Szmalbomem były tylko warunkowe, i że nie takto bardzo miała się pani do swego przeznaczonego. Huzar podobał się Marysi. W głowie jey krążyły gryzące

wapory z namiętnych romansów, które brała z publiczney biblioteki do czytania. Ten cudzoziemski młody huzar tak posępnie stał niegdyś przed oknem władczyni swey duszy, i wzdychał, on się zwierzał przed jey pokojową ze swoją serdeczną troską, tak tkliwie się wyrażał i tak gorąco się przytulał swemi wąsami gęstemi do jey lica, że w tém wszystkiém znaydowała ona wiele romansowości, czułości, i zamierzyła nieodmiennie postawić huzara na nogi.

Jeszcze po pierwszym koncercie, Zofia Pawłówna napomknęła Marysi kilka słów o cudzoziemskim oficerze. Gdy zaś powróciła z balu, Marysia nie zataiła w duszy niczego, co słyszała. Owszem, wszystko jeszcze okrasiła, nagadała tak czułych rzeczy, nibyto słyszanych od huzara, o jakich się jemu, ani myśliło nawet; przydała, iż łzy kręciły się w oczach jego, i, gdy się z sobą rozstawali, srogie zaklinania wyszły z ust jego: straci duszę swoję, jeśli mu się nie dostanie Zofia Pawłówna.

Panienka całą noc nie mogła zamknąć oczu. Nigdy jeszcze ona się nie kochała. W całém mieście było wiadomo, że ją wydają za Szmalboma, i dla tego żaden młodzian nie śmiał rozciągać do niey swoich widoków. Aż oto teraz znalazł się przyjezdny zdaleka, śliczny młodzieniec, który zaczął od tego, iż przepędził wieczor cały przed jey oknami, zupełnie zziąbł z pałającey miłości; spuszczał oczy, kiedy na niego patrzała; stawał się niespokoynym, gdy z nim rozmawiała; prócz niey, z nikim nie tańczył; wszędzie szukał, wszędzie śledził ją swémi oczyma; wyszedł z balu, żeby się widzieć z Marysią, i

przelał jey swoję miłość, swoję tęsknotę, swoję rozpacz.

Tu właśnie zaczęła ona porównywać Kronhelma ze Szmalbomem, i lotna, przezorna dziewczyna, wzięła rozważać zewnętrzne zalety. Szala w wielu względach przeważała się na stronę Szmalboma, to prawda; lecz postać, twarz, lekkość w tańcach, zwinność w obeyściu się — przechylały ją zupełnie na stronę Kronhelma. Biednego Szmalboma osądziła ona całkiem za niezdatnego do miłości. W nim zawsze widoczna była jakaś obojętność, spokoyność, oziębłość, kiedy z nią rozmawiał. Kronhelm, przeciwnie, zaledwo mógł oddychać, kiedy tylko na nią patrzał. Lekkość jego rozmów i umysłu poczytywała ona tylko za lękliwość, nieśmiałość, niespokoyność, smutek, z przyczyny miłości bojaźliwey.

Na tak zwodniczym wniosku opierając się, dała początek swemu nieszczęściu. Uczucia swoje utaiła w samey sobie: żadney z przyjaciółek swoich nie chciała ich odkryć, z obawy, że miłość jey nazwą głupstwem, gdyż szlachetny charakter Szmalboma, jego nieskazitelne sprawowanie się, wychowanie, dobroć serca, czyniły go człowiekiem godnym miłości, w oczach wszystkich panien w mieście. Miłość jey, zwłaszcza z przyczyny tak wielkiey tajemnicy, stała się dla niey rzeczą świętą.

Podczas teyto długiey nocy potrafiła ona dobrze się namyśléć i postanowić coś ostatecznego. Zawsze w rozmowach jey ze Szmalbomem czegokolwiek nie dostawało. W oczach Kronhelma widoczna była jakaś posępna tęsknota, wyraz jakieyś tkliwości, która z pierwszego weyrzenia

pociągała ją do niego. Teraz rozjaśniało w jey duszy. Tylko złoto na jego sukni było dla niey rzeczą przeciwną. Jey — chciałoby się go widzieć zupełnie ubogim, iżby we wszystkich względach uczynić go szczęśliwym. — Statecznie zamierzyła odkryć przed nim swoję przychylność: i honorowie dotrzymała danego sobie słowa. Jey granie, jey śpiewanie, pierwszy raz w życiu stały się loteryą. Djabełek kokietteryi usadowił się w jey oczach, w dółkach policzkowych, w swobodném jey stąpaniu; słowem, w każdem jey poruszeniu. Chociaż wszystko pokryte było przystoynością, układnością, szlachetną prostotą;lecz to wszystko równie było,jak cytryny do ostryg — tém bardziey nabierasz chętki do ich połknienia.

Zaczęli mówić o przejażdżce, dnia jutrzeyszego za miasto. Umyślili przejechać się do pierwszey stacyi, na drodze do Petersburga, i zabawić się w tamecznym bardzo pięknym domu pocztowym.

„WPan, zapewne, także pojedziesz, P. Rotmistrzu? Droga bardzo dobra, a położenie domu pocztowego cudne!“ — Tak raekła Zofia Pawłówna, i wyraźnie się ucieszyła, kiedy Kronhelm przemówił w ten niespodziany sposób: „Jeśliby Pani zamyśliła przejechać się nawet do Syberyi, jam gotów i tam, przodkować na moim gniadoszu.“ Taka była odpowiedź Kronhelma, która się mu wyrwała w zapale uniesienia. Szmalbom postrzegł niezgrabne wykrzyknienie, i uśmiéchnął się. Z tego uśmiéchu poznał sam Kronhelm, że niedorzecznie powiedział i zarumienił się. Zofia Pawłówna znowu przypisała to zarumienienie się lękliwości jego i niewinności serca.

Ach! gdyby wszyscy troje *pojęli*, co powiedział Kronhelm!

Nie posądź tu, zacny czytelniku, skarbu moich pamiątek, prześliczney Zofii Pawłówny. Kto choć mało poznawał serce kobiét, ten, zapewne, często czynił to postrzeżenie, iż nawet naylepiey wychowane,nayżywsze i nayrostropnieysze panny, nie zawsze są szczęśliwe w swoim wyborze. Ładny mężczyzna milszym jest dla nich, niżeli wszelki inny. A omamienia tey miłości kończą się u takich panien i mężatek tylko z ich śmiercią.

Zofia Pawłówna w tey jedney myśli: „on mię kocha!“ całe swe szczęście znaydowała. Wyobrażała sobie złotą przyszłość. Przejazdżka sankami dokonała budowy napowietrznych jey zamków.

Kompania składała się więcey, jak ze trzydziestu sanek. Szmalbom i Kronhelm z wielu młodzieńcami jechali konno. ZofiaPawłówna siedziała w saniach ze swoim oycem. Szmalbom nie źle siedział na koniu, lecz Kronhelm daleko lepiey od niego. Gniadosz jego skakał u prześlicznych sanek Zofii Pawłówny, jakby przeczuwał w niey swą panią. Kronhelm czuł zupełny swóy tryumf nad rywalem. Zręczność jego na pięknym koniu zjednała mu u wszystkich jedno-zgodne pochwały. Zofia Pawłówna uprzeymie się do niego uśmiéchała za każdém zwinieniem się, za każdym śmiałym zwrótem, który koń jego, wspinając się, robił na powietrzu. Ze wszystkich sań rozchodziło się głośne brawo! Był to nayszczęśliwszy dzień dla Kronhelma. Już on nie myślał ani o językach: francuzkim i angielskim, ani o wszystkich mu-

zycznych talentach. Szmalbom jechał kłusem w tyle karawany. Czuł on wyższość Kronhelma i był niekontent.

Konie w saniach Zofii Pawłówny, które dawno już zaczęły lękać się od ustawicznych manewrów Kronhelma, to w tył, to na przód, nagle się rzucały, i uniosły sanie. Woźnica nie mógł ich strzymać. Wyprzedziły wszystkich, i, zruciwszy się w stronę z drogi, puściły się szybko po równém i obszérném polu. Im hardziey rozchodził się krzyk Zofii Pawłówny i jey oyca, tym bystrzey leciały konie, świszcząc, jak wicher, po śnieżney równinie. Lekkie sanie zaledwo się dotykały ziemi. Całe grono jadących konno puściło się w pogoń za nimi. Kronhelm w tey samey chwili, jak się zdarzyło to nieszczęście, zostawał u tylnych sanek. Lecz, widząc powszechne zamięszanie, popędził i on naprzód. Postrzegł zdaleka, że niektórzy skierowali się na stronę; lecz, z tém wszystkiém, nie wiedział jeszcze, dla czego. Gdy zaś dopędził Szmalboma, a ten, w biegu nie bardzo szybkim, zakrzyczał do niego: „Ratuycie Zofią Pawłównę!“ wtedy huzar puścił się nayszybsaym galopem. Wyprzedził wszystkich, postrzegł sanie, śpiął ostrogami konia, i gniadosz, wziąwszy na kieł, poleciał jak ptaszek. Przeleciawszy jak strzała, mimo sanek, Kronhelm rzucił się na przód koni, uchwycił za wędzidła, i te razem stanęły, przytuliwszy się, jak owce.

Zofia Pawłówna była ocalona. Blada i we łzach, padła w objęcia swego wybawiciela. Pocałował on drżącą, w oczach oyca. Na ten całus zasłużył. Starzec dziękował rotmistrzowi

wielą uprzeymemi słowy. Tuż zjechał i Szmalbom z całą pozostałą kawalkatą. Lecz Kronhelm nie dał im wiele mówić. Posadził woźnicę na swego gniadosza, a sam wziął leyce, i zaczął kierować przelękłe konie. Dzikie te istoty drżały we wszystkich członkach, tak to dzielnie wziął on je w ręce, usiadłszy na kozły. Już spokoynie słuchały one woli jego. Zwrócił znowu na drogę, wyjechał przodem wszystkich sanek, i całe zgromadzenie pociągnęło za nim, do domu pocztowego, z tą samą, co pierwiey, spokoynością i wesołością. Siedział, jak stróna, przed swoją ulubioną. Wzrok ich niekiedy się spotykał (*). W tey chwili świętey już obchodzili oni swoje zaręczyny, a starzec, zupełnie niewiedzący niczego o takiém familiynėm święcie, poglądał na nich bardzo uprzeymie. Podobało się mu nadzwyczaynie, że Kronhelm chwalił jego rysaki, i na wszystko się zaklinał, iż w życiu swojém nie widział tak ślicznych sanek. „Dla tegoż one, móy miły, kosztują tysiąc rubelkow" rzekł żartobliwie starzec. Wtém Kronhelm zaczął opowiadać o niemieckich ciężkich saniach, wykładanych lipiną, ze stérczącemi lwami i jeleniami, z postaciami głów murzyńskich i Dawida z arfą, z orłami na przodzie, i ze śmiesznemi, nieestetycznemi ławeczkami; słowem, wszystko to tak rzetelnie i śmiesznie opisywał, że krotofilny huzar nawet się przypodobał starcowi.

Od tego czasu, jak Kronhelm otrzymał całus,

(*) Tu autor czyni uwagę, że u ruskich woźnica siada nie wtyle sanek, jak u niemców. lecz na przodzie, i to z boku, tak, iż jednėm okiem patrzy na konia, a drugim na siedzących w saniach.

stał się on zupełnie innym. Różne dusery i żarciki wymyślał w domu pocztowym, i całe zgromadzenie, któremu dostarczał zabawy, zgodziło się na to, iż temu dobrodusznemu prostakowi daleko więcey przystała ninieysza jego wesołość, niżeli poprzednicza trwożliwość. Prawie ustawicznie kręcił się około Zofii Pawłówny. Ją tylko jednę widział, chwytał jey poględy, uważał każde poruszenie. Ona także, przez wdzięczność, była bardzo na niego uważną: uprzeymie spotykała wzrok jego, naylżeyszego ściśnienia ręki nie zostawiła bez odpowiedzi. Powracając do domu, Kronhelm znowu spełniał obowiązek woźnicy, i starzec zaprosił go do siebie na kolacyą. Szmalbom także się znaydował. Był on jakby roztargniony i zamyślony. Zofia Pawłówna tego nie postrzegała. Smiała się na każdy, często nic nieznaczący żarcik huzara. Starzec ustawicznie dolewał wina, i mocny portwein zaczął już krążyć w niemieckiey głowie Kronhelma. Na szczęście, sam to w porę postrzegł. Proszono, żeby opowiedział o swojey rodzinie, i przyczynie podróży; lecz Kronhelm prosił o pozwolenie odłożyć to opowiadanie na inny czas, kiedy głowa jego będzie wolnieyszą, i wkrótce, po kolacyi pożegnał się, z ostróżności żeby nie popełnić jakiey nieprzyzwoitości.

Marysia czekała go u wyyścia z domu. Miała cóś do powiedzenia. Lecz na ulicy stać z nim nie chciała, obawiając się, żeby ich nie postrzeżono. Tu, w sieniach, było znowu dosyć zimno. Kronhelm zaproponował wstąpić do jey pokoiku. Marysia pomyślała nieco, i zgodziła się, lecz tylko z warunkiem, ażeby nie brać świécy, dla tego, iż z dziedzińca, a nawet z innych po-

kojów domu, mogliby dostrzedz u niey gościa. Natychmiast rotmistrz na to się zgodził.

W przyjemney ciemności, huzar posadził malutkę na kolanach: w tém zdała ona szczegółowy rachunek, jakich użyła starań, ażeby się o wszystkiém wywiedzieć, co się zawiera w sercu jey panienki, ażeby zjednać ku niemu oyca, i bliżyć go do celu jego życzeń.

Podług niey, o Zofią Pawłównę można było zupełnie bydź pewnym. „Aby zaś uczynić przychylnieyszym starca.“ mówiła daley w swym raporcie: ,,musiałam nieco przykłamać. Wczora, gdym ubierała panią, przy czém i on się znaydował, potrafiłam w to, iż wszczęła się o WPanu rozmowa, i przebęknęłam, że praczka nasza zna służącego WPana, i że nie mógł on dosyć się wychwalić pięknych WPana majątków w Niemczech. Jakoby nawet powiadał, że WPan (starzec, pan móy, cierpieć nie może woyskowych) już teraz nie jesteś w służbie, i po wzięciu odstawki żyjesz z dochodów swego majątku, przytém odbywasz podróż, chcąc światu się przypatrzyć.“

Nagle weszła do pokoiku Zofia Pawłówna. Marysia zeskoczyła z kolan. Kronhelm siedział, jak przyrosły do mieysca. Ognia nie było: został więc niepostrzeżonym. Lecz niepodobna mu było zanotować, co mówiła Zofia Pawłówna. Rozpowiadała chytrey Marysi o szlichtadzie, o heroicznym postępku Kronhelma. Każdy o nim wyraz oddychał naywyższą miłością. Tak więc rotmistrzowi nie pozostało już żadney wątpliwości. Z ust swojey ulubioney słyszał, iż osiągnął cel swych życzeń.

Nakoniec, Zofia Pawłówna wyszła z pokoiku. Marysia za nią poszła. Kronhelm wymknął się z zasadzki i z domu.

Teraz plan jego był gotowy. Marysia, w prostocie swego serca, naprowadzała go na drogę. Zaczął częściey odwiedzać Zofią Pawłównę. Oyciec uprzeymie go przyymował. Z córką Kronhelm coraz więcey. Szmalbom zaczął nie znacznie usuwać się. W mieście biegały już ciche pogłoski o Kronhelmie i Zofii Pawłównie. Sam oyciec widział, że między nimi coraz większa jednomyślność. Oddać córkę za człowieka rycerskiego, który ma znaczne majętności w Niemczech, widzieć z radością wnuczęta swoje szlachtą: myśl ta, zbliżała go coraz więcey do rotmistrza.

Kronhelm, porozumiawszy się już z Zofią Pawłówną, powiedział nakoniec oycu o swojey miłości, i prosił o rękę miłey panienki.

„Panie rotmistrzu!” rzekł starzec z przychylnym uśmiéchem: „Zofia Pawłówna jedynaczką u mnie. Zdaje się, iż dosyć już poznałem WPana z duszy, lecz — przebacz troskliwości oycowskiey, — wszystkie inne stosunki jego są mi zupełnie niewiadomemi. Gdy WPan zaspokoisz mię w tém przez dostateczne dowody, wtedy nic nie będzie przeszkadzało do spełnienia WPana i moich życzeń.“

„A, co w tém, to żadney nié masz trudności!“ zawołał szczęśliwy huzar. Pobiegł do domu i przyniósł wszystkie swoje dokumenta, to jest: uwolnienie od służby woyskowey, podpisane własnoręcznie przez jego Monarchę i prawo wieczyste na majątki w jego oyczyznie, wartujące

275,000 talarów; to prawo także przyznane w sądzie tey prowincyi, gdzie się znaydowały majątki, — wszysko wedle należytey formalności.

Prześliczna Zofia Pawłówna rzuciła się w objęcia swego kochanka, a rodzic ich pobłogosławił.

Starzec oświadczył naówczas uniesionemu oblubieńcowi swoje postanowienia: zamierzył on dawać córce, do swey śmierci, po 3,000 rub. sr. na jey gospodarkę;a potém już ma ona zostać jedyną jego dziedziczką. Jeśliby Zofia Pawłówna umarła pierwiey od swego męża, wtedy jemu miał starzec wypłacać każdego roku tęż summę, do końca dni swoich; lecz za to, iżby w pewny sposób zabezpieczyć utrzymanie się swey córki, żądał on, ażeby zięć luby, w przypadku swey śmierci zawczesney, zastrzegł dla wdowy pobieranie 2,000 talarów z dochodów swych majątków, przez prawną tranzakcyą.

Przeciw tak sprawiedliwemu żądaniu nie było nic do mówienia. Kronhelm zostawił swe prawo wieczyste w ręku swojego teścia, który nazajutrz chciał rozpocząć w tey rzeczy prawne działania w urzędzie sądowém swego miasta.

Kronhelm i Zofia Pawłówna, byli już w całém mieście ogłoszeni za państwo młodych, i napawali się w zupełności słodyczą złotych dni tego snu powabnego, nad który nic wyższego nie wynalazła fantazya ludzka, dni, co poprzedzają małżeństwo. Zofia Pawłówna kochała, szczęśliwego Kronhelma, całą mocą pierwszey miłości; rozsądkiem swoim i dobrocią serca tak mocno działała na jego umysł i duszę, że codzień stawał się on szlachetnieyszym, i teraz tylko czuć zaczął,

jak wiele mu nie dostaje, iżby stać się zupełnie godnym tego anioła. Ubóstwiał ją z uszanowaniem, które wynosiło go nad wszystko, co jest poziomem.

Tak upłynęło sześć tygodni szczęścia niezapomnego. Tu rozerwała się nić jedwabna, i miecz z tysiącem płytkich ostrzów, co się unosił nad ich szczęśliwością, nagle spadł i poprzecinał wszystkie delikatne tkanki zwodniczych ich nadziei.

Razu jednego zrana, stanął kuryer przed łóżkiem sennego ulubieńca, spytał się u niego nrywkowo: onli jest Kronhelm, i potém pokazał mu rozkaz Cesarski. Skoczył rotmistrz,zbladły jak trup. Zaczął prosić, błagać o pozwolenie napisania kilku tylko wierszy. Kuryer całkiem odmówił. Narzuciwszy na swoje drżące ciało suknią naypotrzebnieyszą, w dziesięć minut siedział już w powózce, która nań czekała przy ganku. Konie kuryerskie bystro się poniosły. Poleciał on na spotkanie losu, bynaymniey jemu niewiadomego.

Oyciec Zofii Pawłówny był podtenczas wKurlandyi. Zacny Szmalbom odważył się sam uwiadomić Zofią Pawłównę o nieszczęśliwym wypadku. Ani słowa nie przemówił o swey zgryzocie, którey doznał po stracie tey miłey panienki; ani słowa o tém, że na nowo ożywiają go nadzieje. Całe sześć tygodni unikał on spotkania się z nią i nie widział jey; lecz teraz się pokazał, ażeby donieść o niespodzianém zdarzeniu,przygotowawszy ją stopniami do nader ciężkiey straty.

Gdyby to był nie Szmalbom, który nigdy nie skłamał, nigdyby nie uwierzyła, ani jednemu

słowu. W tych chwilach naywiększego przestrachu, zapomniała, że usta, co uwiadomiły ją teraz o tym ciosie fatalnym, sto razy zapewniały ją niegdyś o miłości i wierności; nie widziała, iż serce Szmalboma kraja się na przykry widok dowodów, jak gorącą miłością przywiązana jest Zofia Pawłówna do nieszczęśliwego Kronhelma. Płakała, krzyczała, wyciągała ku niemu ręce, jakby chcąc zatrzymać go przy sobie. Wtém nagle się uciszyła. Małemi paluszkami swemi pociągnęła po gorącém czole. Każda minuta była droga; co kwadrans, był Kronhelm uwożony od niey kilka wiorst daley. „Jakie jego przestępstwo? Dokąd go powieziono?" pytała się, a nikt jey nie odpowiadał. Pokazał się jego służący, i ten o niczém nie wiedział. Przyniósł tylko ukłon od Kronhelma. „Jeżeli Zofia Pawłówna mię nie wybawi, to zginąłem na wieki." Te były ostatnie jego słowa.

„Tak, tak—ja chcę, ja powinnam, go wybawić." Zawołała głośno, i plan jey był gotowy. Rzuciła się Szmalbomowi na szyję, zaklinając, ażeby wypełnił jedyną jey prośbę, ostatnią, którą może mieć do niego na tym świecie.

W objęciach takiey dziewczyny, żaden mężczyzna niczego odmówić nie może. Szmalbom zgodził się bezwarunkowie. Prosiła o 2000 rubli do powrotu oyca jey z Kurlandyi. Szmalbom czém prędzey pobiegł, aby dostać pieniędzy. Prosiła o ich przysłanie, jego zaś samego życzyła widzieć nie prędzey, aż na zajutrz zrana, kiedy się spodziewała być już spokoynieyszą. „WPana delikatność, WPana czułość, podbija mię zupełnie, przyjacielu móy!" zawołała głośno, i, w naywyższém uniesieniu, mocno przytuliła jego ręce do

swych piersi. „Tego dowodu wspaniałomyślności WPana i szlachetności nigdy nie zapomnę. Wiecznie będę poważała, wiecznie szanować będę WPana. Lecz teraz racz pośpieszyć! Przyszliy mi pieniądze! Nie odrzucay pocałowania, jako dowodu mey wdzięczności!" To mówiąc, padła osłupiała na piersi Szmalboma. On ucałował czarującą dziewczynę, która zawierała w sobie i ray i piekło jego; potém pobiegł wypełnić jey prośbę.

Wtedy przyzwała ona do siebie Adolfa, swego kuzyna, zacnego młodzieńca, do którego naywięcey miała zaufania. Mówiła z nim oko w oko. Przedewszystkiém powinien był Adolf prawą swą rękę położyć jey na serce i przysiądz, że cały tydzień nikomu nic nie powié o tém, co teraz ona mu oświadczy. Udręczone jey serce biło powolnemi uderzeniami, jakby w godzinie śmierci. Adolf przysiągł i wyrzekł: „teraz prędzey dam sobie urznąć język, niżli zdradzę ciebie!"

„Więc póydź, weź na swe imie podorożną do Tobolska i dostań mi szablę, pistolety i stróy męzki."

„Do Tobolska? Lecz czyś przekonana, że go tam powieziono?" zapytał Adolf... Z przestrachu mózg mu zlodowaciał.

— „Tam lub za granicę: w razie ostatnim znaydę go, kiedy powrócę; jeżeli zaś posłany na Syberyą, naprzód więc, trzeba go tam szukać. Za dwie godziny stawąy na kuryerskich koniach, przed naszym ogrodem. Zabież tu, ja wdzieję twe suknie i siądę do powozu. Takim sposobem nie pozna, ani woźnica, ani kto inny. Pewnie mówić będą, że jesteśmy z sobą przyjaciele. Do-

gonię Kronhelma, wykupię go, skoczę z nim za granicę, a tam dowiész się o nas. Za tydzień opowiedz wszystko oycu. Niech będzie on spokoyny: ze mną nic złego nie stanie się. Teraz ruszay, ruszay, jeśli mię kochasz. Czas bardzo drogi!"

We dwie godziny już siedziała — kuryer — przystoyny, jakiego nie było od początku świata, stoi, w lekkiey powózce, z zapasem 2000 rubli, i poleciała, nie na życie, lecz na śmierć, do okropnego kraju Syberyi.

Po ptaku, rossyyski kuryer gabinetowy jest, jak wiadomo, naybystrzeyszém na ziemi stworzeniem. Jeszcze na pierwszey stacyi, poznała Zofia Pawłówna, z naywiększą dla siebie radością, że trafiła na ślad pożądany. Ale poprzedni ulecieli półdnia czasu.

Tymczasem, gdy miła heroina czarodzieyską mocą swoich assygnacyy zagrzewa nogi i jadącym i koniom, opowiém wkrótkości, skąd wynikło tak niespodziane zdarzenie.

Kronhelm potajemnie się wymknął ze swego półku. Nie mogłem w żaden sposób dociec istotney przyczyny tey ucieczki;jedni ją przypisywali nieszczęśliwemu pojedynkowi, drudzy ważnemu jakiemuś przestępstwu, a inni, nakoniec, przysposobieniu fałszywych papierów urzędowych. Uciekł on na brzegi Dzwiny, iżby, żyjąc tu, łatwiey mógł poprawić swe interessa. Ledwo po zapoznaniu się z miłą Zofią Pawłówną, poczuł w zupełności smutne swe położenie. — Marysia, mimo wiedzy ich wszystkich, przybrała na się główną rolę w tey tragedyi. W sercach obóyga kochanków roznieciła iskrę miłości i zapaliła z niey pożar namiętności; ona ożywiła słabe zbiega

nadzieje;ona mu ukazała oświecony słońcem szczęścia wierzchołek, na który mógł się dostać, byleby tylko chciał; ona poprowadziła go ścieżką, po którey powinien był wznieść się na naywyższy stopień swych życzeń;ona go kłamstwami wyniosła na szlachcica i pana dóbr wielkich, a Kronhelm musiał potakiwać temu kłamstwu, jeżeli Zofią Pawłównę, przedmiot swey namiętney miłości, chciał nazwać swoją.

Oddał on, jak wiadomo, swemu teściowi świadectwo o uwolnieniu ze służby i prawo wieczyste na dobra. Tamte znowu wziął do siebie; to ostanie pozostało u teścia, dla podania do sądu,gdzie się miał uskutecznić akt, na mocy którego Zofia Pawłówna, w razie owdowienia, miała mieć zapewniony stały dochod z majątków swego męża.

Zwierzchnik mieysca sądowego nie mógł, zapewne, nie znając podpisów, polegać na rzetelności takiego prawa, które było przyznane w obcym kraju, o 200 mil. Przeto udał się do będącego wtedy w mieście konsula tego kraju, z którego Kronhelm mienił być siebie przybylcem, i zapytał: azali rzeczywiście dobre są te podpisy. Konsul, człowiek szanowny, znalazł pieczęć i podpisy należytemi; tylko forma, styl i stępel papieru wydały się mu nie zupełnie zgodne z témi, jakie są przyjęte w jego państwie. Dla tego prosił nieco czasu, w którymby się odniósł do tego sądu, gdzie zawarty był akt i otrzymał urzędowe potwierdzenie o jego prawności. Przy tém, jako przyjaciel oyca Zofii Pawłówny, dołożył starania, iżby ta sprawa odbywała się w tajemnicy i z naywiększą, jak można, ostróżnością.

Jeżeliby, jak mniemał konsul, podobném być

do prawdy, prawo wieczyste okazało się sfabrykowaném, chciał o tém donieść oycu Zofii Pawłówny, i ostrzedz, ażeby tak miła panna nie wpadła w ręce awanturnika i oszusta.

Tegoż ranku, kiedy powiózł Kronhelma kuryer, otrzymał konsul odpowiedź, że prawo jest fałszywe; że Kronhelm nie abszytowany, lecz skrycie opuścił służbę; że, jeśli pokazuje uwolnienie, podpisane ręką Monarchy, to i ono musi być sfałszowane; że o tém zdarzeniu dano już wiedzieć tamecznemu dworowi, z zapytaniem, azaliby nie raczył uczynić dalszych rozrządzeń.

Pióra gabinetowe zazwyczay są bystrzeysze, niżeli sądownicze. Zaledwo się o tém dwór dowiedział, niezwłócznie doniosł o tym wypadku do Petersburga, prosząc oraz, iżby zatrzymano i wydano przestępcę; lecz Cesarz Paweł I, równie sprawiedliwy, jak surowy, postanowił sam ukarać bezrozumnego, i, żeby obrażonemu dworowi, jak można nayprędsze uczynić o tém przekonanie, natychmiast rozkazał wysłać Kronhelma do Tobolska.

Miłość mocnieyszą jest i bystrzeyszą, aniżeli powinność. Kuryer pędził bez oddechu od stacyi do stacyi, zgodnie z daném sobie zaleceniem, do zimnych mieszkań wyrzutków ludzkości. Lecz Zofia Pawłówna zdołała wreszcie dogonić ulubionego. Jednaki głos dzwonka rozchodził się daleko w odludnych stepach. Kronhelm pomyślał, że pędzi za nim inny kuryer, z ułaskawieniem Cesarza. Nie wierzył swym oczom, gdy Zofia Pawłówna ukazała się przed jego powózką.

Wyskoczył i padł jey do nóg. Radość jego i uniesienie słów nie miały. Głośno i rzewliwie

płakał, objął kolana wspaniałey dziewczyny, ręce jey okrywał całowaniami i łzami.

Tu Zofia Pawłówna zaczęła wszelkiemi sposobami starać się, iżby pociągnąć kuryera na swoję stronę. Ofiarowała mu 1000 rubli, jeżeli da uciec swemu więźniowi. Nic nie mogło nakłonić twardego wykonawcy woli Cesarskiey. Na tym tysiącu rubli pokładała nadzieję swoję. Tuż, w mgnieniu oka cała ta nader piękna obaliła się budowa. Cios ugodził ją niespodzianie. Odkryła się kuryerowi, powiedziała, że jest kobietą, że nie może żyć bez Kronhelma równie, jak on bez niey. „No, to pojedziem razem" odpowiedział wręcz kuryer: „na to się zgadzam; w przedpisaniu mojém nic podobnego nie powiedziano. W Tobolsku żyje nie jedna zacna kobiéta. I WPani tam nie umrzesz. A jeśli tak wiele masz pieniędzy, że możesz je rzucać tysiącami, tym lepiey dla WPani."

Takie oświadczenie było nowém dla Zofii Pawłówny, która nawet nie pomyślała o niczém podobném, kiedy opuszczała swoję rodzinę. Lecz cóż jey było teraz robić? Ulubionego swey duszy, całkiem nieobeznanego z językiem krajowym, zostawić na łup wszystkich przygód? Może nigdy się z nim więcey nie obaczy? na pośmiewisko i wstyd powrócić do domu rodzicielskiego? — Już pierwszy krok był zrobiony; drugi daleko łatwieyszy. Zapewne też skryte jakieś przyczyny mogły skłonić ją jeszcze do zgodzenia się na radę kuryera. Poszła na wygnanie, za człowiekiem, który ją oszukał. Kronhelm czuł dobrze, iż zruynował szczęście nayukochańszey w świecie dziewicy. Sumnienie srożey go ukarało, niżli strata łaski sprawiedliwego Króla. Przestępstwo jego wo-

bliczu Zofii Pawłówny ciężyło mu daleko bardziey, aniżeli ta lekkomyślność, z jaką postąpił on przeciw swemu Monarsze, przeciwko oyczyznie i swym powinnościom. Teraz on sam prosił i zaklinał, aby Zofia Pawłówna wróciła się do domu, a jego zostawiła losowi, na który zasłużył.

„Nie mogę—” odpowiedziała heroiczna dziewica: „nie mogę. Pozwól mi dzielić twoje przeznaczenie. Kiedy oboje będziemy je znosili, oboygu nam lżey będzie.”

Wtedy przestępca przytulił szlachetną Zofią Pawłównę do udręczonych swych piersi i poprzysiągł niebu, iż stanie się jey godnym. Wynagrodzić ją za stałość, za jey poświęcenie się bez przykładu—ach! o tém nie śmiał nawet pomyśleć. Słupy graniczne, oddzielające Europę od Azyi, były świadkami tey przysięgi. Zofia padła na kolana i ucałowała prochy oyczystey części świata. Na wieki rozstawała się z oycem i przyjaciółmi. „Teraz;—rzekła ze smutnym uśmiéchem, obróciwszy posępny, tkliwy wzrok na zostającą poza nimi Europę: „teraz należę do ciebie, Kronhelmie! Tyś mię kochał. Z miłości ku mnie popełniłeś przestępstwo. Miłość moja, moja wierna miłość, powinna wynagrodzić tobie za wszystkie gorzkie cierpienia, jakie czekają ciebie w tey okropney krainie ziemskiey.”

Siadła do powózki Kronhelma. Kuryer jechał za niémi w jey powózce. Na jedney stacyi, z wielką trudnością i ofiarą, udało się im namówić duchownego, ażeby dał kościelne błogosławieństwo, zawartemu przez nich związkowi dożywotniemu. Wtedy Zofia Pawłówna włożyła na siebie odzież płci swojey, którą wzięła z sobą.

Tak więc przybyli młodzi małżonkowie do Tobolska. Dwa tysiące rubli dosyć znacznie roztrwoniły się w drodze. Reszta użytą była na zaprowadzenie gospodarki i utrzymanie się w pierwszym miesiącu. Zofia Pawłówna nie traciła ducha i zaufania w Opatrzności. Niezasłużone nieszczęscie znosi się przez czyste sumnienie lżey, niżeli zasłużone przez czarne sumnienie. Kronhelm często dochodził do ostatecznego smutku. Gdy przeszedł miesiąc, trzeba mu było przestawać na tém, co się daje na utrzymanie wygnańca, a Zofia Pawłówna — z czegoż żyć miała!

Lecz Zofia Pawłówna znalazła dzielną podporę w swoich talentach. Zaznajomiła się z pierwszemi domami w mieście i z wygnanemi tu familijami, między któremi były i bogate. Wszystkich uymowała swoją znajomością językow, graniem na instrumentach, śpiewaniem, oraz szlachetném i uprzeymém obeysciem się. Zaledwo oświadczyła chęć dawania lekcyy, iżby zapewnić sobie przez to kawałek chleba, a już wszyscy pośpieszyli z radością powierzyć dzieci swoje tak nieoszacowaney nauczycielce. Wkrótce podwyższyła płacę, która, jak wiadomo, dosyć jest wysoka w Tobolsku, za dawanie lekcyy; i tym sposobem miała na rok około trzech tysięcy rubli. Z tego utrzymywała swoję gospodarkę, a po trzech latach wypłaciła jeszcze dług Szmalbomowi.

Kilka razy pisała do swego oyca, lecz serce jego było dla niey niedostępném. Wszystkie listy zostały bez odpowiedzi. Szmalbom zaś napisał do niey po przyjacielsku i wrócił pieniądze. Jednak nie mogła i nie chciała ich przyjąć; drugi raz je odesłała i prosiła zatrzymać.

W tym czasie umarł Cesarz Paweł i wstąpił na tron Alexander. Z pierwszych pięknych nader czynow Jego było ułaskawienie wielu nieszczęśliwym, wygnanym do Tobolska, Nerczyńska, Irkucka. Do liczby tych, co zasłużyli na ułaskawienie, dostał się i Kronhelm. Jednakże nie przeżył tey radości. Umarł ze zgryzoty, biorąc ten wyraz we właściwém znaczeniu. Zofia Pawłówna, przez swoję cnotę, przez swoje obeyście się i czystość obyczajow, przerobiła go na dobrego człowieka. Kochał on tego nieskazitelnego anioła całą mocą naytkliwszey miłości. Los jey trapił go zawsze. Codzień tajemnie czynił sobie wymówki, iż wciągnął ją za sobą w nieszczęście; że całkiem nie był zdolnym sprawić jey, choćby naymnieyszey ulgi; że rozum jego nie odpowiadał jey rozumowi; że musi żyć z tego, co ona nabyła z cięźkiém usiłowaniem; że nawet i wtedy, gdy szukała uspokojenia po zmordowaniu się przez trudy dzienne, żadna się skarga z ust jey niewydobyła, i że nic, zgoła nic, nie miał on dla niey, prócz swego serca, prócz swojey miłości.

Zofia Pawłówna powróciła na łono rodziny. Gdzie Cesarz ułaskawia, tam i serce rodzicielskie nie może nie przebaczyć. Starzec pogodził się z nieszczęśliwą kobiétą. Szmalbom był już żonatym.

Kilkanaście lat temu, jakem widział Zofią Pawłównę, na jednym świetnym balu, obok z drugim jey mężem. Patrząc na wdzięki miłey kobiety, każdy łacnoby się skłonił nie ciskać kamienia przygany na zimną ziemię, która na wieki pokryła znikome szczęście nierozsądnego, o tysiąc mil od ciebie, litujący się czytelniku!.

POEZYA.

Człowiek.

Człowiek, ten twór, tak rozumny,
Tak z wyższości swojey dumny,
Pan ziemi, król przyrodzenia...
Wielkim tylko z urojenia.
Tronèm jego, jest cierpienie,
Godłem państwa, łez strumienie;
Po goryczach śmierć w kolei...
Smierć! w niechibney już nadziei...
W przyszłości zaś... co go czeka...
Tego... rozum nie docieka.

Kamilla Narbuttówna.

Jałmużna.

Wiersz Antoniego *Goreckiego*.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica.
Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany;
W tym, jakby na złość, gdzie wązka ulica,
Stoi staruszek okryty łachmany,
I żebrze. »Wstydź się, czyż to żebrzeć pora,
»Któż to jałmużny prosi wśród wieczora?
—»Panie, po licu mojém spóyrz wybladłém,
»Day mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.«
—»Ey! day mi pokoy, nic nié mam, nie mogę.«
Ofuknął młodzian, i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: oy! znam was, filuci,
Mieyscy próżniacy, ze wstydu wyzuci:
Wziął lichą odzież, by tym litość wzbudzić,
I lezie gwałtem, żeby co wyłudzić.
Lecz potém myśli: można w gniewie zbłądzić:
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.
A może biedny, może ma i dzieci,
Zaydę, gdzie w bramie tey ogień się świeci,
Dam mu co. Zaszedł — Lecz cóś szuka długo;
Nie mam nic drobnych, dam mu razą drugą.
Słabość jest, zbytnią uwieść się szczodrotą;
Nie takto łatwo nabywa się złoto.
Idzie, znów myśli: choćbym dał dukata,
Nie wielka dla mnie to byłaby strata.
Wszak mam ich kilka, a bez mey pomocy,
Może staruszek ten i zamrze w nocy.
Lecz, gdzież już wracać, spóźnię się na wiska,
Ale biednego tego głód przyciska.
Wrócę się — wrócił. — Ledwo dał trzy kroki,
Ucichło, xiężyc błysnął przez obłoki.
Bieży młodzieniec, dziwiąc się tey zmianie,
Bieży gdzie stoi staruszek przy ścianie.
Dał mu dukata· »Ten, co rządzi w niebie,
»Oby dla ciebie był też litościwy,
»Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie,«
Westchnął, i zniknął staruszek sędziwy.
Zdziwiony młodzian patrzy dookoła,
Lecz nic nie widać wpośród nocney ciszy;
»Ktoż jesteś, starcze!« przelękły zawoła,
Wtém jeszcze taki w powietrzu głos słyszy;
»Co dasz ubogim, synu móy, nie zginie.
»Oddam ci w sądu straszliwey godzinie.

»Uważać każdy twóy krok dobroczynny,
»Do mnie należy; lecz jest anioł inny,
»Zbiera, co trwonisz, rozrzucasz daremnie:
»Pomniy, by więcey nie zebrał ode mnie.«

Petrark i Laura.

Przez Antoniego *Goreckiego.*

Petrark.

Powiedz mi, piękna! powiedz zkąd pochodzi,
Gdy oczy moje spotkają się z twemi;
W sercu się mojém jakieś czucie rodzi,
Jakiego nié masz równego na ziemi.

We śnie wspomnienie o tobie mię budzi,
Ty mnie zaymujesz w całodzienney dobie;
Nic mnie nie bawi, uciekam od ludzi,
W tenczas szczęśliwym, gdy myślę o tobie.

Jeśli toż samo i z tobą się dzieje,
Ah! powiedz piękna; razem nam bydź trzeba;
Razem się strumień łez naszych poleje,
Razem o wsparcie będziem błagać nieba.

Lecz jeśli próżno pytanie to czynię,
Powiedz . . . choć zadasz męczarnię mi srogę;
Sam jeden póydę przez smutków pustynię
Na obowiązków mych wrócić się drogę.

Laura.

Ciebie to słyszę! kogoż nie poruszy,
Italskiey liry harmoniyne brzmienie;
Próżno zamykam taynie mojey duszy,
Ostatnie pokoy stracił w niey schronienie.

I po cóż pytasz, dawno ci powiedział
Wzrok mój, co usta mówić me nie śmieją;
Ah! wiész, niewdzięczny, choć chcę, byś nie wiedział,
Że to dla ciebie łzy się moje leją.

Nie znam ja szczęścia, jakie mają w niebie:
Lecz tu innego szukać mi daremnie,
Jak głos twój słyszeć, i mówić do ciebie,
Patrzeć i spotkać twe oczy wzajemnie.

Ah! pójdziem razem, nie mogę cię rzucić,
Przez smutkow kraje pójdę z tobą, miły;
Na drogę naszych obowiązków wrócić,
Lecz ty mnie prowadź, bo ja nie mam siły.

Nadzieja i Wspomnienie.

Tłumaczenie z francuzkiego przez Antoniego *Chrapowickiego*.

Człek w przykrey życia kolei,
Choć go nieszczęść brzemie schyli,
Serce otwiera nadziei,
I słodkiey doznaje chwili.
Dotkliwe nawet cierpienia,
Stałość duszy nie zachwieją,
Kiedy nas cieszą z nadzieją
Słodkiey przeszłości wspomnienia.

Gdy nas los srogi rozdziela,
Żadna mię rozkosz nie nęci,
Nié masz już dla mnie wesela,
Jak tylko w szczęścia pamięci.

Może jeszcze zajaśnieją
Dni, co me pragną życzenia;
Tymczasem serce nadzieją
Słodzą przeszłości wspomnienia.

Wspomnienie Ady.

Wyjątek z 3ciey pieśni poematu Lorda Bayrona pod tytułem: Child Harold. Przekład Stanisława *Rosołowskiego*.

O Ado moja, me drogie kochanie!
Z tobąm pieśń zaczął i z tobąm ją skończył.
Nigdy przez czulsze oyciec pożegnanie,
Myśli swych z córką i duszy nie złączył.

Ty mnie pocieszać będziesz po mym zgonie,
Choć nigdy twoje nie uyrzą mię oczy;
Lecz głos móy w twojém odezwie się łonie,
I we śnie pamięć moja cię otoczy.

Ta niech ci w drodze życia towarzyszy.
Znaydziesz obecnym obraz oyca wszędzie,
Który ci nawet z grobowey zaciszy,
O swey miłości mówić jeszcze będzie.

Poić wzrok miłym widokiem dziecięcia,
Lubemi z tobą bawić się pieszczoty,
Rozwijać słabe twych zmysłów pojęcia,
Gdy jeszcze dla nich cudem są przedmioty.

Kołysać ciebie na mojém kolanie,
Na twe niewinne spoglądać uśmiéchy,
I z ust twych słodkie brać pocałowanie,
Wszystkie te były nie dla mnie pociechy.

Serce mi twoje rozdziera wspomnienie,
I wpośród cierpień smutku i rozpaczy,
Jakieś tajemne i tkliwe wzruszenie,
Czułą potrzebę duszy mey tłumaczy.

Chociaż ci oyca nienawidzieć każą,
I twą uzbroją przeciw mnie niewinność;
Nie zdołasz trzymać twych uczuć pod strażą,
Ni głos natury stłumisz przez powinność.

A gdy mię wspomnieć nie będzie ci wolno,
Wyrzec me imie usta się ośmielą,
I miłość będziesz czuła mimowolną,
Chociaż grobowe cienia nas rozdzielą.

Próżnoby ciebie chcieli krwi pozbawić,
Która spłynęła z oyca w twoje żyły:
Tey zmiany w tobie nie zdołają sprawić,
I zawsze będę sercu twemu miły.

Miłości mojey ukochane dziecie!
Boleść i żale wydały cię społem,
Smutki cię w wieku poznają już kwiecie,
Smutki też, oyca twego są żywiołem.

Ogień, co młodość twoję dziś ożywia,
Niech w pożar w sercu nie zaymie się twojem!
Niech cnota, chwile twoje uszczęśliwia,
I we śnie darzy niewinność pokojem.

Dziś smutną życia przebywając drogę,
Dni me na morzu lub na górach trawię,
I kiedy ciebie widzieć już nie mogę,
Sercem oycowskiém jednak błogosławię.

Pieśń do Inezy.

Z pierwszey pieśni Child-Harolda, przekł. tegoż.

Nie chciey mych smutków koić przez uśmiechy,
Usta się moje wzajem nie odśmieją,
Niechay łza twojey nie mięsza pociechy,
Niech nigdy próżno łzy się twe nie leją.

Na cóż chcesz odkryć mych smutkow powody,
I żal, co w głębi mey duszy się mieści,
Co me rozkosze i wiek truje młody,
Kiedy mych zmnieyszyć nie zdołasz boleści?

Ah! to nie miłość, ni zawiści ciosy,
Ni w czczych nadziejach duma zawiedziona,
Co mi narzekać każe na me losy,
I zdala stronić od lubego łona.

Jakaś wewnętrzna tęsknota mię nudzi,
I ciągle smutek trapi niepojęty,
Piękność, już mojey miłości nie wzbudzi,
I twoje nawet nie wzruszą ponęty.

Nakształt zgryzoty, co męczarnią srogą,
Dręczyła niegdyś bratobóycy duszę,
Obraz przeszłości przeraża mię trwogą,
I chyba w grobie skończę me katusze.

Wygnaniec w krańce świata niedostępne,
Gdzież on przed samym sobą się uchroni?...
Wszędzie mię smutki ścigają posępne,
Wszędzie mię szatan myśli moich goni.

Niech inni, których nieba szczęściem darzą,
Lubą rozkoszą zmysły swoje łudzą,
Niechay spokoynie błogie chwile marzą,
I, jak ja, z marzeń swoich się niebudzą.

Skazany błądzić przez losy surowe,
Unoszę z sobą smutne złorzeczenia;
Zabawą moją są nieszczęścia nowe,
Co dawne tłumią na chwilę cierpienia.

Jakie nieszczęścia ?...nie pytay się wcale,
Błagam, byś wiedzieć o nich się wyrzekła.
Ty się uśmiéchay, a mnie zostaw żale,
I serce, które jest obrazem piekła.

Do Oceanu.

Z czwartey pieśni Child-Harolda, *przekład tegoż.*

I.

Wzrusz modre fale, pyszny Oceanie!
Próżno tysiące flot twe porzą wały,
Ciebie ujarzmić człowiek nie był w stanie,
Choć pod swe berło, świat zagarnął cały.

Tyś sam jest sprawcą burzy i zniszczenia,
Które na własnym poruszasz żywiole.
Nie ma tam śladu ludzkiego ramienia,
Gdzie moc twa człeka skrępowała wolę.

Grąży się w otchłań, jako kropla wody,
Ledwie cień jego, mignie na głębinie,
Ni żałobnemi żegnany obchody,
Bez łez i grobu w niepamięci ginie.

II.

Na twoim grzbiecie człek nie wyrył stopy.
Jego zdobyczy urąga się fala,
Grożą mu wałów ryczących potopy,
I twoja burza odpycha go zdala.

Niszcząca jego i potężna władza
Którey hołduje świat bojaźnią zdjęty,
Uśmiéch twóy tylko i wzgardę sprowadza,
Wnet zburzonemi porwiesz go odmęty;

I razem z pianą wzniesiesz pod obłoki.
Alboś go w otchłań bezdenną pogrążył,
I z wzgardą rzucił na brzeg jego zwłoki,
W obliczu portu, do którego dążył.

III.

Czém są dla ciebie, śmierć ziejące działa,
Co szturm w nadbrzeżne przypuszczają miasta?
Nie raz mocarzów potęga zedrżała,
A trwoga w samey ich stolicy wzrasta.

Czém pływające ich warowne domy,
Jako wieloryb na morskiey przestrzeni,
Któremi dumny i władzy łakomy,
Człowiek się królem Oceanu mieni?

Marnym są floty dla ciebie postrachem,
Na głębiach twego skupione obszaru,
Ty, któryś jednym pochłonął zamachem,
Smutne groźnego szczątki Trafalgaru.

IV.

Swiat przywaliło ciężkie czasu brzemie,
Ciebie zniszczenia nie dotknęła plaga,
Gdzież starożytne assyryyskie plemie?
Gdzie Rzym potężny, Grecya, Kartaga?

Tyś przetrwał zmiany, co wzburzyły lądy,
I ludy wolne dźwigał swemi barki;
Albo żyjące pod obcemi rządy,
Gdy swe pod jarzmo zgiąć musiały karki.

Czas możne państwa zamienił w zwaliska,
Na tobie marszczków nie wyryły lata;
Zmienne są tylko twey fali igrzyska,
Jesteś, jak byłeś przy stworzeniu świata.

V.

Pyszne źwierciadło, lśniące się wspaniale,
Gdy poskromiwszy wały buntownicze,
Stwórca w twym jasnym i gładkim krysztale,
Niebieskie swoje przegląda oblicze!

Ty, czy uciszasz, czy wzburzasz swe wały,
Czy dmie akwilon, albo zefir ciepły,
Czyś pod skwarnemi równika upały,
Czy pod biegunem w bryły lodu skrzepły;

Wszędzieś bez granic, wielki Oceanie,
Jesteś wieczności obrazem i tronem,
Sam swe zaludniasz bezdenne otchłanie;
Swiat tobie bije czołem ukorzonem.

VI.

Zawszem cię lubił w mey młodości kwiecie,
I dla mnie było, naymilszą roskoszą,
Kiedym z falami igrał na ich grzbiecie,
I czuł, jak z sobą na los mię unoszą.

Na twojem prawie zhodowany łonie,
Od lat dziecinnych z tobąm się oswajał,
A kiedy wzdęte burzyły się tonie,
Widok ten moję przyjemność podwajał.

I, jakbym twego był żywiołu tworem,
Igram swobodnie i z tobą się bawię,
Ani ulękły wód twoich przestworem,
Z uśmiéchem po nich i teraz się pławię.

Do kwiatka.

Przed kim tutay wśród cierpienia,
Ma się serce wylać śmiele?
A to serce czuje wiele,
I ma wiele do mówienia.

Mówić o lubey dziewczynie,
Z druhem tylko roskosz tkliwa,
Lecz go nié ma; on przebywa
Aż kędy Wilija płynie.

A me serce nic nie powié,
Wesołey drużynie o tém:
Bo ta drugim wyda potém,
I każdy się wkrótce dowié.

Jeden nazwie mię szalonym,
Drugi o płochość chwini,
Ów surowszy sąd uczyni,
I wnet będę potępionym.

Kwiatku! skarbie móy jedyny!
Pamiątko szczęśliwey chwili,
Na ciebie tylko naymiley,
Spoglądać w smutne godziny.

Chodź tu, umysł móy strapiony,
Rozweseliy w tęsknéy dobie,
Ja się z wszystkiém zwierzę tobie,
O móy kwiatku ulubiony!

Byłem i ja w tey krainie,
Gdzie ty wzrosłeś kwiatku miły;
Tam tak szybko dni schodziły,
Jako szybko potok płynie.

Potok płynie przez bezdroże,
I w głębinach wód utonie,
Tak tam każdy dzień pochłonie,
Niebieskie pamiątek morze.

Bo tam w rayskiey zakliczynie,
Przebywa miła prostota,
Szczérość, dobroć, piękność, cnota,
A to w anielskiey dziewczynie!

O trudno znieść jey spóyrzenie,
Przeniknieć do głębi duszy,
Naytwardsze głazy poruszy,
Jedno słówka wymówienie.

Chcesz być spokoynym? — zmień drogę,
Unikay tey okolicy;
Jam uyrzał uśmiéch dziewicy;
I już uciekać nie mogę.

Wkrótce czwarta minie zima,
Jak w oczach moich dziewica,
Jak w sercu mojém tęsknica,
Jak w duszy pokoju nié ma.

Ach nie raz ona widziała,
Co ja biédny cierpieć muszę,
A trudno zbadać jey duszę,
Bo ustkom milczeć kazała.

Czyliż nie wié? czy nie czuje?
Że kto cierpi, zawsze smutny,
A kto widzi, ten okrutny,
Gdy się nad nim nie lituje.

Ach powiédz mi kwiatku miły
Czyli cię tylko z litości,
W tę rayską xięgę piękności,
Swieże jey rączki włożyły?

Adamie! to w xiędze twojey,
Która dziwi i zachwyca,
Mego szczęścia tajemnica,
Albo też niedoli mojey!

W. S.